

Byłem w Polsce – 21

1 września 2018

W Polsce czcimy wiele Matek Boskich. Taka to już nasza tradycja i taki katolicyzm. Tacy jesteśmy. Częstochowska, Ostrobramska, Fatimska, Kozielska, Jazłowiecka... Kto by je zliczył?! Jeśli chodzi o mnie, to od tego pamiętnego świtu nad Bugiem moją Matką Boską została właśnie ta – Kodeńska.

Kodeń nad Bugiem dotyka nieomal granicy państwa. Wtedy, w 1968, za rzeką rozciągał się Związek Radziecki. „Kumunizm i bezbożny ateizm”, jak mówił Władysław Gomułka. Teraz jest tam Białoruś, czy raczej jak pisał Konwicki, Dobroruś – kraj dobrych ludzi...

PKS z Białej włókł się jak ślimak, robił długie przystanki, a raz nawet złapał gumę i to naprawianie zabrało przeszło godzinę. Na miejsce dojechaliśmy dopiero pod wieczór. Nie wiem, jak jest teraz, ale wtedy Kodeń to była wieś z kościołem. To wszystko. Żadnego hotelu czy schroniska. Kierowca autobusu poradził mi pójść do sołtysa, więc poszedłem. Sołtys mieszkał w zwykłej chałupie, gdzie za ścianą słyszeć było przeżuwającą krowę, a mieszkanie składało się z kuchni i izby sypialnej. Powiedziałem mu, że przyjechałem zobaczyć obraz.

– Obraz jest, a jakże, ale gdzie ty teraz po nocy znajdziesz mieszkanie?

Musiałem zrobić trochę głupio-bezradną minę, bo chwilę się zastanowił i powiedział:

– Przenocuj u mnie.

No więc zostałem, bo w rzeczywistości nie miałem wyboru. Zastanawiałem się tylko, gdzie będę spać, bo oprócz stołu, paru zydli i wielkiego pieca nie widziałem żadnego łóżka.

– To gdzie się mogę położyć? – spytałem grzecznie.

– A włącz na piec. Babka się posunie. A tam przy drzwiach wisi kożuch, to go weź, żebyś nie zmarzł.

Babka ma się posunąć? Jaka babka? Nic jednak nie powiedziałem. Nie rozbierałem się. Zdjąłem tylko buty i sięgnąłem po kożuch, ale prawie od razu dałem sobie spokój. Kożuszysko było przesiąknięte zapachem obory i kurzego łajna tak głęboko i intensywnie, że aż mnie zatkało. Na piecu spała babka, to znaczy staruszka zakutana w jakieś chusty i przykryta pierzyną. Zajmowała prawie cały piec, ale popchnąłem ją trochę i przycupnąłem na wolnym skrawku. Babka zamruczała coś, chrapnęła i to w zasadzie wyczerpało nasze wzajemne kontakty. Dobrze, że nie wziąłem tego śmierdzącego kożucha, bo na piecu był cieplarniany mikroklimat. Wary uderzyły we mnie z taką siłą, że przez moment złękłem się, czy krew nie tryśnie mi oczami! Zdaje mi się, że tak właśnie czują się kobiety w czasie menopauzy, ale ostatecznie co ja wiem?! W każdym razie płonałem! Leżałem na bardzo ciepłej, żeby nie powiedzieć gorącej powierzchni pieca, babka grzała mnie z jednej strony, a niskość powały sprawiała wrażenie, że siedzę w piekarniku! Pomimo to zasnąłem. Zbudziłem się o czarnym świcie. Mogła być trzecia, może trochę wcześniej, ale zdecydowałem, że muszę wyjść. Mroźne powietrze ocuciło mnie tak skutecznie, że wspomnienie upalnej nocy ze staruszką przy boku odpłynęło jak senna mara.

Kościół był naturalnie jeszcze zamknięty, więc poszedłem nad Bug. To był wspaniały czas. Parę godzin fantastycznej ciszy i spokoju. Właśnie tego szukałem. Jeszcze przed wyjazdem myślałem o Tyńcu, Częstochowie czy Kalwarii Zebrzydowskiej, ale potem „Błogosławiona wina” zaszła mi tak głęboko w serce, że zdecydowałem o Kodniu. Tak jak ogromna większość Polaków byłem przecież wychowany po katolicku. Mogę nawet powiedzieć, że mój rodzinny dom był ultrakatolicki! Nie mieściło mi się w głowie, że ktoś może być niewierzący. Nie zapomnę, gdy jako czternastoletni chłopak usłyszałem, że jeden z moich kolegów

jest ateistą, po prostu zaniemówiłem! To był dla mnie szok, który pamiętam do dziś.

Wróćę do tego, ale na razie chcę powiedzieć, że przełom 1967 i 68 roku był dla mnie dość dziwny i stąd wzięła się myśl, żeby oderwać się od wszystkiego i spędzić parę dni w „oderwaniu od świata”. Jak się potem okazało, nie byłem jedyny. Mój dobry przyjaciel ze studiów zamknął się w jakimś klasztorze na pół roku. Wziął urlop dziekański i zniknął. W rzeczywistości sprawa była i jest banalnie prosta. Po prostu zdarza się, że przychodzi moment, kiedy ma się dość picia, wariactwa, nocnego życia, spania do wieczora, przypadkowych znajomości, totalnego bałaganu i chce się odpocząć. Chce się poukładać, wyczyścić, odetchnąć, odpokutować i jak to się czasem mówi, „odrodzić na nowo!”. Kodeń miał być dla mnie taką właśnie ekspiacją. I ten lodowaty, marcowy świt nad Bugiem stał się nią dla mnie!

Nie było mi zimno, nie czułem żadnego zmęczenia, moje myśli toczyły się spokojnie, równo i niesłychanie klarownie. Patrzyłem na ciemną wodę i szarzejące niebo. Zimny wiatr chłodził mnie w jakiś dziwny, niezwykle odświeżający sposób. Miałem wrażenie, że Matka Boska Kodeńska gładzi mnie delikatnie i oczyszcza z niepokoju.

W Polsce czcimy wiele Matek Boskich. Taka to już nasza tradycja i taki katolicyzm. Tacy jesteśmy. Częstochowska, Ostrobramska, Fatimska, Kozielska, Jazłowiecka... Kto by je zliczył?! Jeśli chodzi o mnie, to od tego pamiętnego świtu nad Bugiem moją Matką Boską została właśnie ta – Kodeńska.

A potem spędziłem długi, spokojny czas przed obrazem, a po wyjściu z kościoła zostałem zatrzymany przez uzbrojony patrol Wojsk Ochrony Pogranicza. Przewieziono mnie na placówkę WOP-u i poddano dość szczegółowej rewizji. Kto, co, dlaczego tutaj, skąd jadę, jaki jest mój „prawdziwy” cel pobytu w strefie przygranicznej itd. Pytania, pytania i wreszcie długi protokół i długie godziny oczekiwania na jakiś telefon czy telegram – tego akurat nie wiedziałem, bo pozwalano mi tylko i wyłącznie

odpowiadać na pytania. W każdym razie po kilku godzinach zostałem wypuszczony z poleceniem niezbliżania się do rzeki, bo rzeka stanowi obszar graniczny.

Wróciłem jeszcze na chwilę do Kodnia, wszedłem na parę chwil do kościoła, żeby popatrzeć na moją Matkę Kodeńską, i poszedłem na przystanek PKS. Spokojnie poczekałem na autobus i wsiadłem w pierwszy, który nadjechał.

– Dokąd pan jedzie? – spytałem kierowcy.

– Na Radzyń!

Pojechałem więc do Radzyna, a stamtąd do Dębina i Warszawy. To była dokładnie ta droga, którą jechaliśmy teraz z Lublina do Warszawy. W parę tygodni po tym zdarzeniu dostałem list od mojego ojca, który informował mnie, że milicja wypytywała go o mnie. Chodziło o wyjaśnienie faktu, czy przypadkiem nie jestem szpiegiem.

– Powiedziałem im, że nie jesteś – napisał w zakończeniu listu mój ojciec.

Zgodnie z zapowiedzią, wróćę jeszcze na chwilę do mojego ultrakatolickiego wychowania i szoku, jakiego doznałem, w chwili gdy jeden z moich kolegów powiedział mi, że jest niewierzący. Ten kolega był ode mnie parę lat starszy i w gruncie rzeczy nie mógł się spodziewać mojej reakcji. Jego stwierdzenie padło w potocznej rozmowie – chyba nawet nie na tematy religijne. Mniejsza z tym. W każdym razie siedziało to we mnie. Przede wszystkim nurtowało mnie pytanie, jak to się w ogóle może dziać, że ktoś nie wierzy w Boga. A mieliśmy podówczas bardzo dobrego katechetę, czy może raczej kapelana szkoły. Miał na imię Robert. Oczywiście mówiliśmy do niego „proszę ojca”. Franciszkanin. Znał dość dobrze historię Kościoła i jego lekcje bywały interesujące. Na którejś z nich – a było to w 1966 roku – w jakimś szerszym kontekście powiedział, że nestorem polskich ateistów jest Tadeusz Kotarbiński. Ten rok pamiętam tak dobrze, dlatego że

Kotarbiński, o którym jeszcze wtedy nie wiedziałem kompletnie nic, kończył dokładnie 80 lat. Oczywiście tego też nie wiedziałem, ale zaraz po lekcji poszedłem do ojca Roberta na rozmowę i powoli, powoli zacząłem zbierać informacje. Jednocześnie owładnęła mną przemożna myśl, żeby porozmawiać z Kotarbińskim i zapytać go, dlaczego nie wierzy!

Po jakimś czasie znalazłem w książce telefonicznej adres profesora i poszedłem. Mieszkał na Karowej, trochę poniżej hotelu Bristol. Piękna, przedwojenna kamienica z przestronną klatką schodową. Profesor mieszkał bodaj na pierwszym piętrze. Tuż pod nim – na parterze – zauważyłem na drzwiach tabliczkę „Jan Marcin Szancer”. No, tego to znałem. Lubiłem jego delikatne rysunki, znałem je z wielu książek i bajek dla dzieci. Podeszedłem do drzwi profesora i zadzwoniłem. Otworzyła mi służąca i zaraz potem wyszedł profesor. Miałem wtedy siedemnaście lat, ale ku mojemu przeogromnemu zadowoleniu stary profesor potraktował mnie jak równego sobie partnera i powiedział:

– Rozumiem, że chodzi panu o filozoficzną rozmowę, czy tak?

– Właśnie tak – odpowiedziałem – gdyby pan profesor zechciał poświęcić mi parę chwil, byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

I mówiąc to, nie byłem daleki od prawdy. Moja ciekawość była tak paląca, że po prostu nie mogłem sobie wyobrazić, że mogę jej nie zaspokoić!

– W takim razie zapraszam w środę.

Byłem w siódmym niebie! Nic jeszcze wtedy nikomu nie powiedziałem, a w środę, cały podniecony, wybrałem się na Karową.

I ta pierwsza wizyta u profesora Tadeusza Kotarbińskiego rozpoczęła serię naszych spotkań. Raz przychodziłem do niego do domu, innym razem do Pałacu Staszica, gdzie miał swój

gabinet, a jeszcze innym razem rozmawialiśmy na ławce w parku. Wszystko to działo się na przestrzeni około dwóch miesięcy i do dziś zachodzę w głowę, jak to się stało, że stary profesor nie znudził się moimi pytaniami i dociekaniem. W każdym razie to były dla mnie przeciekawe spotkania, w czasie których nauczyłem się wielu ważnych rzeczy. Na wiele spraw spojrzałem inaczej. To były wspaniałe lekcje, których nigdy nie zapomnę!

Profesor już dawno nie żyje. Kolega, który powiedział mi o swoim braku wiary także. Spoczywa gdzieś na dnie Morza Północnego, w którym utonął przy okazji awarii statku rybołówczego. Był oficerem PŻM. Sprawy dawne, ale w mojej pamięci ciągle żywe i świeże, tak jakby się wydarzyły przed paroma dniami.

Autorstwo: Marcin Baraniecki

Źródło: Goniec.net